

NIE CHODZI O MAKARON

Spoliczkowała mnie, bo nie wiedziałem ile czasu powinno się gotować makaron al dente. Emocjonalnym, nerwowym ruchem odrzuciła drewnianą łyżkę i wykonała krótki zamach, wymierzony wprost w mój nieogolony policzek. Był to cios niezwykle mocny, lecz pozbawiony chęci morderstwa, zadany drżącą dłonią, którą wiecznie całowałem, bo tylko w ten sposób mogłem ją uspokoić.

W kuchni zapanowała cisza. Przed chwilą pomieszczenie wypełniało echo spoliczkowania, a teraz wszystko ucichło, nawet makaron przestał się gotować, oczekując na rozwój sytuacji. Ona, wpatrująca się we mnie i nie mogąca chyba uwierzyć w to, co zrobiła, stała jeszcze chwilę w bezruchu, aby następnie zrobić krok w moim kierunku. Dotknęła mnie kolanami. Byliśmy już tak blisko siebie, że bliżej się nie dało — i nie mówię tu wyłącznie o tej sytuacji, ale o całej naszej relacji. Byliśmy tak blisko, że przeistoczyliśmy się w nieznane współczesnemu światu czworonożne zwierzę o skomplikowanej, hybrydowej budowie. Jedno z nas oddychało, aby drugie się nie udusiło; jedno jadło, drugie trawiło i wydalało. O takim stworzeniu Darwin powiedziałby, że wyewoluowało wbrew naturze, wbrew środowisku, w którym się urodziło, wbrew nowoczesnej miłości, która z góry zakłada swój rozpad. Na szczęście Darwin nie żyje. Umarł spełniony, nie wiedząc, że nasze szczątki już wkrótce obalą jego teorię. A przynajmniej tak mi się wydawało...

W pomieszczeniu nadal panowała cisza.

— Nie mówiłeś, że nie potrafisz gotować makaronu — powiedziała nagle.

Wpatrywałem się w jej szare oczy. Patrzyłem i upajałem się ową pasją, z jaką podchodzi do moich umiejętności kulinarnych, pasją do wdrażania w życie swoich najszczerzych uczuć, a jednocześnie do niszczenia wszystkiego, co stara się owym uczuciom przeszkodzić. To była ta sama pasja, która kierowała Adolfem Hitlerem eksterminującym naród żydowski i ludźmi, którzy dali się jej porwać. To była ta sama emocja, tyle że w pozytywnym sensie. Nagle zrozumiałem siłę nazizmu.

— Nigdy nie pytałaś — powiedziałem po chwili. — Czy to by coś zmieniło, gdybym rok temu wyznał, że nie potrafię gotować makaronu?

Spuściła głowę w dół i oparła ją na mojej klatce piersiowej, a następnie odchyliła do tyłu i parę razy uderzyła czołem o moje żebra. Był to największy manifest smutku, jaki kiedykolwiek u niej widziałem. Objąłem ją i z jej głową na moich piersiach spędziliśmy kolejną minutę, może dwie.

— Tak. Tak, zmieniłoby... — szepnęła wreszcie, a dźwięk dochodził z okolic mojego mostka. Podniosła głowę i spojrzała na mnie tym najgłębszym wzrokiem. — Tu nie chodzi o to, że jesteś beznadziejny w kuchni, że nie potrafisz ugotować najprostszej potrawy, ani że spaliłeś już trzy garnki. To nie ma żadnego... znaczenia... — Drżała, a z jej prawego oka popłynęła łza. — Tu chodzi o nas. Chodzi o to, że nie zawsze potrafimy czytać sobie w myślach... — Do samotnej łzy dołączyły jeszcze dwie. Były to pierwsze łzy odkąd osiem miesięcy wcześniej ów piękny organizm najzwyczajniej w świecie przestał je produkować.

— Ale ty zawsze wiesz, o czym myślę. Myślę tylko o tobie i o tym, że...

— Przestań! — przerwała mi chrypliwym głosem, ledwo wydobywającym się z przesuszanej krtani, i niemal w tej samej sekundzie spoliczkowała mnie po raz kolejny, tyle że dwa razy mocniej. Trzęsła się i domagała, abym pomógł przezwyciężyć jej obsesję,

ale owa obsesja była jak ziarnko piachu, które wstrzymuje całą maszynę. Spojrzałem na jej popękane wargi. Nagle ona, jak gdyby nigdy nic, objęła moją twarz i pocałowała mnie tymi popękаныmi wargami, a wraz z pocałunkiem przeniosła na mnie całą gorycz, z jaką ona sama musiała się tego dnia zmierzyć, tak abyśmy wspólnie poczuli jej smak. Był to pewnego rodzaju niepokój, wręcz paniczny strach przed faktem, że nawet najbliżsi ludzie nie mogą stopić się w idealną jedność. I wyszła. Tak po prostu. Wzięła jeansową kurtkę, papierosy i wyszła z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi.

Makaron znów zaczął się gotować.

Siedziała na tej samej ławce co zwykle, osłoniętej drzewem i kawałkiem starego muru, po którym piał się dziki bluszcz. Miejsce to znajdowało się tuż za placem zabaw, przy wydeptanej na trawniku ścieżce, którą wydeptały jedyne dwie osoby siedzące kiedykolwiek na tej ławce. Poza tą dwójką nikt tu nie przychodził. Dzieci nie bawiły się już na placach zabaw, a rodzice nie mieli czasu się tym martwić. Młodzi i zakochani całe dnie oglądali seriale, wypełniając w ten sposób niezręczną ciszę, której nie potrafili wypełnić szczerą rozmową. Natomiast starsi ludzie woleli umrzeć w swoich mieszkaniach, gdzie nikt nie zobaczy ich śmierci, bo śmierć była najbrzydszą oznaką starości, której tak bardzo się wstydzili. Mówiąc wprost, ławka nie była nikomu potrzebna.

— Zwykle przychodzisz dużo szybciej.

— Wybacz, ale musiałem dogotować makaron. — (Nie uśmiechnęła się.) Usiadłem obok niej, a ona położyła mi głowę na ramieniu. W dłoniach trzymałem dwa plastikowe kubki i wytrawne, węgierskie wino, którego nienawidziliśmy, ale które piliśmy z przyzwyczajenia.

Wyciągnęła papierosa z paczki i włożyła go do ust.

— Jesteś ostatnią osobą na świecie, która powinna palić papierosy — powiedziałem, po czym sięgnąłem do kieszeni po zapalniczkę.

Siedzieliśmy w ciszy. Wieczorów takich jak ten były już setki, a mimo to żadnemu z nich nie towarzyszyło znużenie. Wszystkie były przesiąknięte absolutnym zrozumieniem i zmieszonym zapachem papierosów i perfum, za którym wkrótce będę tęsknił.

Naszą medytację przerwał dopiero głośny damski śmiech i dźwięk rozbijającego się szkła, prawdopodobnie butelki z najtańszym winem. Ów śmiech należał do jednej z tych młodych dziewczyn, które co weekend wymieniają się śliną oraz innymi wydzielinami swoich jędrnych ciał z najsilniejszymi samcami w stadzie. Zza rogu bloku, w którym mieszkaliśmy, wyłoniła się grupa dziesięciu młodych osób, mniej więcej w naszym wieku. Było tam sześciu chłopców, niektórzy w drogich spodniach dresowych, jeszcze droższych jaskrawo-kolorowych butach, o wyżełowanych włosach i tępym uśmiechu. Towarzyszyły im cztery damy, częściowo porozpinane, w krótkich sukienkach, na które nałożone miały futerkowe płaszcze, albo w białych topach z odkrytym brzuchem i jeansach. Cała gromada szła chwiejnym krokiem, wszyscy przytuleni, ale każde z nich miało wolną rękę, w której trzymało najtańsze wino. Nagle się zatrzymali.

— EJ... KUUURWA! ZGUBIŁAM TELEFON! — krzyknęła jedna z dziewczyn, po czym schyliła się, żeby szukać owego telefonu na ziemi. Wypięła pośladki, przytrzymała włosy dłonią i szukała swojego jedyne okna na wielki świat, w którym żyły dziewczyny takie jak ona: lubiące pizzę, podróże, śmiech, imprezy oraz chłopców, dziewczyny o

wielkich pośladkach, ustach i brwiach. I gdy tak schylona rozglądała się po chodniku, jeden z tych wyżelowanych samców, który akurat opowiadał o wypitych tego wieczora litrach wódki i wina, podszedł do niej od tyłu i udał, że uprawiają seks.

— To moja ulubiona pozycja! Ha ha! Każdą tak zapinam! — Wykonał ruch do tyłu i do przodu. Do tyłu... I do przodu.

Pozostałe dziewczyny wyciągnęły swoje telefony i zaczęły nagrywać ten udawany stosunek, a ja w tym samym momencie zacząłem zastanawiać się, jak bardzo udawane muszą być uczucia tych osób. Ich umysły nie potrafiłyby przecież wznieść się ponad realizm swych ciał, nie potrafiłyby złać się w jedność z innym umysłem, bo takie połączenie wymaga rezygnacji z własnego nieskrempowania. Ci ludzie szukają połączeń, które nie obciążają ich samych. Nie mają wystarczająco dużo siły, aby dźwigać cudze torby oraz wstydzą się powierzyć komuś własne. Przytulają się, śmieją, całują i nigdy nie rozmawiają o sobie ani o swoich demonach, z którymi żyją jak z uroczyimi zwierzątkami domowymi. Nigdy nie wchodzi w siebie na tyle głęboko, że ich słowa są szczere. Wchodzi w siebie jedynie nocami takimi jak ta, po to tylko, aby przez chwilę poczuć tę bliskość, której i tak nie rozumieją.

Czułem wobec nich obrzydzenie. Nieopisane i niepoprawne obrzydzenie wobec ludzi, których nawet nie znam. Wobec wyuzdanych, kokieteryjnych dziewczyn i chłopców, którzy je zaliczają. Ale cieszyłem się, że tacy ludzie istnieją, bo...

— ...bo wypełniają świat — odezwała się nagle ta, której demony były także moimi demonami. Spojrzałem na nią, a ona przystawiła mi do ust papierosa, tak abym mógł się zaciągnąć, po czym położyła się na plecach, wzdłuż ławki, w ten sposób, że jej łydki leżały na moich udach. Złapałem ją dłońmi za odkryte kostki, za ten odkryty kawałek ciała pomiędzy obcisłymi jeansami a czarnymi adidasami. Wokół nas zaczęło się ściemniać, a my trwaliliśmy w tej pozycji następną godzinę, od czasu do czasu popijając wino, po czym wróciliśmy do mieszkania, wprost do łóżka.

Obudziłem się niemal w tym samym momencie, w którym słońce wyłoniło się zza horyzontu. Odruchowo sięgnąłem ręką po kołdrę, którą zawsze zrzucała w nocy na podłogę, a przez to rano na jej ciele pojawiała się gęsia skórka, w południe katar, wieczorem kaszel. Zwykle przykrywałem ją zaraz po przebudzeniu, po czym wychodziłem do piekarni, a kiedy wracałem, robiłem śniadanie, stawiałem talerz na stole i czekałem aż pojawi się w drzwiach kuchni, z potarganymi włosami, z zaspanym uśmiechem na twarzy, ubrana jedynie w ogromny, biały t-shirt. Ale nie tym razem. Tym razem, kiedy sięgnąłem na podłogę po zrzucaną kołdrę i chciałem ją okryć, jej już nie było na łóżku. Podniosłem się i zobaczyłem, że siedzi na krześle, wpatrując w okno i próbując zasłonić przede mną drżące dłonie.

Coś się zmieniło. Któryś fragment świata się zmienił, ale nie wiedziałem który.

— Dalej myślisz o tym, co było wczoraj? — zapytałem.

Pokiwała twierdząco głową, nawet na mnie nie patrząc.

— Przecież wieczorem ci przeszło.

Spojrzała na mnie.

— Ale wróciło. Wróciło i będzie wracać, zawsze. To już teraz zatruwa moje życie, a więc wkrótce zatruje i ciebie. A ja tego nie chcę... — straciła dech, ale po chwili znów

zaczęła mówić, dużo spokojniej, tym razem patrząc w okno. — Sama tego nie rozumiem. I nie chcę rozumieć, bo to przerażające, ta jedna, nieopisana emocja zżerająca cię od środka i niszcząca wszystko, zabierająca to, czego nikt inny ci nie odbierze... Skąd ona się we mnie wzięła?

Wstałem z łóżka, podszedłem do niej, uklękłem i objąłem ją za kolana. Pocałowałem ją w jedno z tych kolan.

— Nic w tobie nie ma — powiedziałem.

— Masz rację, jestem pusta w środku. — Uśmiechnęła się, pierwszy raz od trzech dni.

— Zbieraj się. Za godzinę musisz być na wykładzie.

Posłuchała mnie, żeby drastycznie przerwać swoją melancholię, i oboje wstaliśmy, ale naszemu powstaniu nie towarzyszyła żadna motywacja, tak jakbyśmy przeczuwali nadchodzący koniec, tak jakby codzienne działania zostały zarażone dekadencją wizją przyszłości. Tak jakby następował nasz lokalny koniec świata, zarezerwowany tylko dla naszej dwójki.

Zawsze kiedy myślałem o apokalipsie, wyobrażałem sobie ludzi, którzy wiedząc o nadchodzącym kresie, idą do pracy, bawią się z dziećmi, wyznają sobie miłość, ale wszystkie te chwile pozbawione są życia. Bo życie to przyszłość. Obraz przyszłości sprawia, że przyszłość cały czas jest przed nami. Ale kiedy ów obraz zaczyna się zamazywać, nie ukazując nam naszego dalszego losu, próbujemy zatrzymać się w teraźniejszości. Próbujemy wstrzymać świat tak, aby przestał zmierzać ku przepaści, i w ten właśnie sposób zabijamy otaczające nas światło, bo gdyby świat się zatrzymał, wraz z nim zatrzymałyby się także fotony, a więc zapanowałaby wszechogarniająca ciemność.

Dlatego nienawidziłem fizyki. Prześladowała mnie od czasów szkolnych, a kiedy myślałem, że się jej pozbyłem, ona powoli zabijała cały mój świat.

Włożyłem spodnie, a moja miła stanęła przed lustrem. Odgarniając włosy do tyłu, spojrzała na swoją piegowatą twarz, po czym zaczęła malować rzęsy, ale jej dłonie nadal drżały, co spowodowane było raczej zimnem aniżeli strachem przed końcem świata. Wziąłem więc od niej maskarę i pełen nabytego wcześniej doświadczenia zacząłem malować jej rzęsy, powoli, z ogromną starannością, a na samym końcu namalowałem kropki tuż pod oczami.

Kiedy już oboje byliśmy gotowi, wyszliśmy przed klatkę, gdzie oboje pożegnaliśmy się pocałunkiem, który jak zwykle był pocałunkiem pełnym namiętności, który dusił wszystkie złe słowa w zarodku. Wystrzegaliśmy się płaskich całusów na powitanie i na do widzenia.

Do mieszkania wróciłem późnym wieczorem.

